

W POSZUKIWANIU STRACONEGO ROZUMU

Mówiąc lapidarnie – oświecenie nie ma dziś wzięcia. „Nie tylko lud nie stał się dojrzały i rozumny, ale jeszcze elity oświeceniowe poszły w rozsypkę, nie bardzo wierząc w sens powierzonej im kilka stuleci wcześniej misji. Co poszło nie tak? Gdzie nastąpiło załamanie?” – zauważa i pyta prof. Agata Bielik-Robson i szuka odpowiedzi w pasjonującym (i formalnie pięknym) eseju „Ucieczka od poczytalności”. Może idea wyprowadzenia ludzkości raz na zawsze w dojrzałą dorosłość była z góry skazana na porażkę, może człowiek wcale nie chce przestać być dzieckiem?

Skoro tak, ilu przedstawicieli homo sapiens na poważnie głowi się nad tym, co jest racjonalne w życiu? A z takim generalnie pytaniem zwrócił się Jacek Żakowski do prof. Andrzeja Szahaja, filozofa. Niech zaprzysięgli (w swym mniemaniu) zdroworozsądkowcy nie spodziewają się jednoznacznej odpowiedzi. „To jest dobre pytanie, na które nie ma dobrej odpowiedzi – uprzedza profesor. – Chociaż filozofia od samego początku próbuje przekonywać, że istnieją racjonalne cele ludzkiego życia i że je właśnie powinniśmy wybierać”.

Racjonałiści nie powinni jednak upadać na duchu – jeśli nie chcą, by całą przyszłość ludzkiego gatunku przyszło powierzyć sztucznej inteligencji. Prof. Paweł Golik, biolog, pytany przez Sławomira Mizerskiego o to, co dla ludzkości wynika z obecnego stanu wiedzy o ewolucji, ostrzega: „Nie wiem, czy nie bardziej ponurym scenariuszem niż całkowita zagłada biologiczna gatunku ludzkiego może być utrata przez człowieka wszystkich nagromadzonych zdobyczy kulturowych – komfortowego życia”.

O różnych kulturowych zdobyczach ludzkości opowiadają autorzy innych artykułów w tym wydaniu „Niezbędnika”. Choć bowiem nasza racjonalność jest wątpliwa, to wielu nie poddaje się dziejowemu pesymizmowi i uparcie poszukuje rozsądnych rozwiązań. Albo, przynajmniej, zrozumienia tego, co się z nami i wokół nas dzieje.

Zapraszam do lektury

LESZEK BĘDKOWSKI
REDAKTOR WYDANIA



CZŁOWIEK

6 **Ucieczka od poczytalności**
AGATA BIELIK-ROBSON

13 **Cienka warstewka rozumu**
Z prof. **Pawłem Golikiem**, biologiem,
rozmawia SŁAWOMIR MIZERSKI

18 **Nowi mieszczenie**
EDWIN BENDYK

23 **Władza za nieróbstwo**
Z prof. **Jerzym Wilkinem**, ekonomistą,
rozmawia JOANNA SOLSKA

28 **Jak wybrano brexit?**
MACIEJ OKRASZEWSKI

34 **Hashtag, który zmienia świat**
TOMASZ ZALEWSKI

39 **Czarne sny**
JĘDRZEJ WINIECKI

44 **Piraci XXI wieku**
KRZYSZTOF KUBIAK

48 **Sądny pył**
Z prof. **Bolesławem Samolińskim**, lekarzem,
rozmawia AGNIESZKA SOWA

54 **Poszukiwany zarządca internetu**
PIOTR RUTKOWSKI

58 **Wiedza z nieba**
Z prof. **Tomaszem Bulikiem**, astronomem,
rozmawia PRZEMEK BERG

63 **Wierność stereo**
BARTEK CHACIŃSKI

68 **Przemijanie, obalenie**
PIOTR SARZYŃSKI

74 **O bibliofilach i bibliomaniakach**
EWA DĄBROWSKA

80 **Metahistoria nosa Kleopatry**
KAROL JAŁOCHOWSKI

85 **Trzy życia Haliny Krahelskiej**
OLGA GITKIEWICZ

90 **Co jest racjonalne w życiu**
Z prof. **Andrzejem Szahajem**, filozofem,
rozmawia JACEK ŻAKOWSKI

CYWILIZACJA

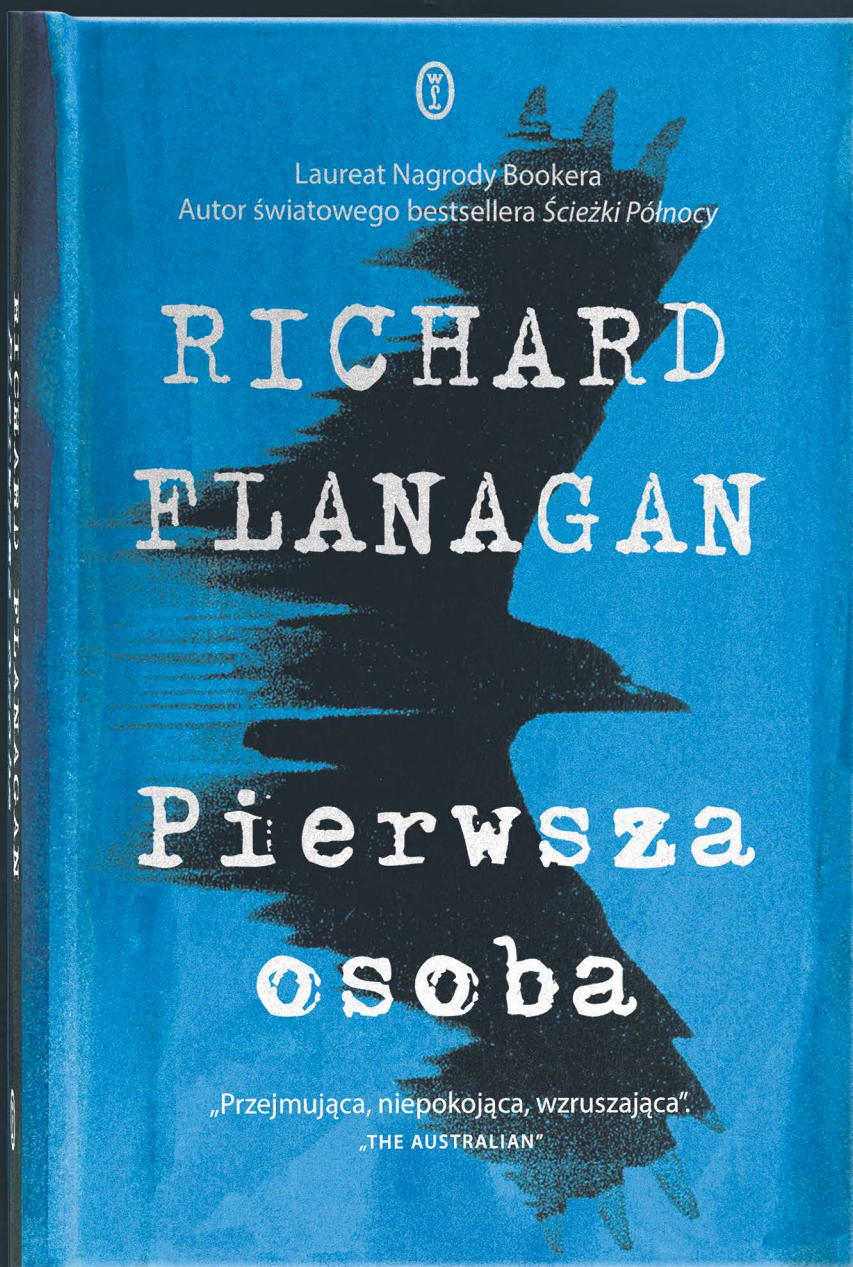
HISTORIE

ROZMOWA
NIEZBĘDNIKA

POLSKA

ŚWIAT

Pisarz, kłamstwa, emocjonalne rodeo...

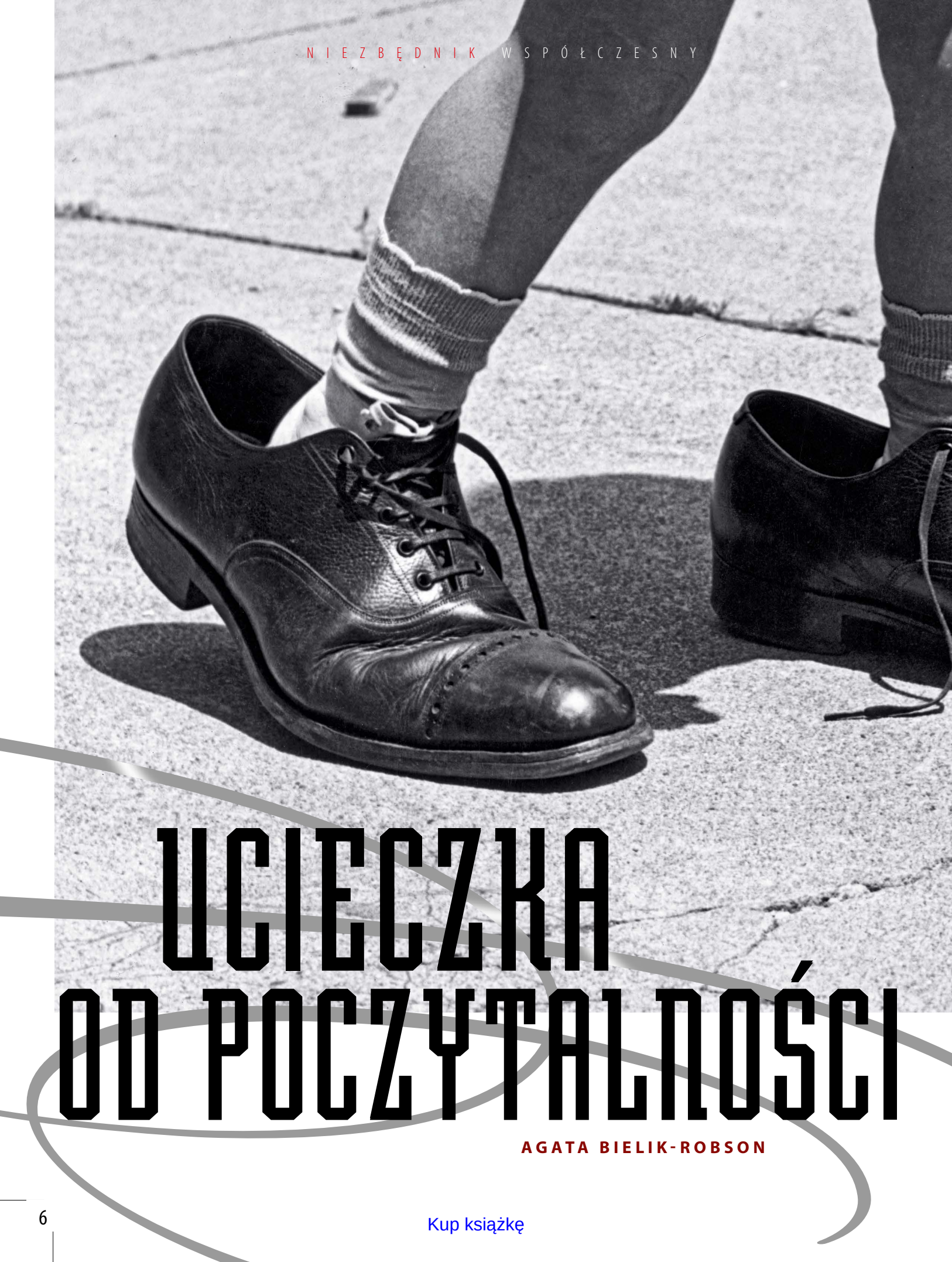


Wydawnictwo
Literackie

www.wydawnictwoliterackie.pl
infolinia 800 421 040

Kup książkę

N I E Z B Ę D N I K W S P Ó Ł C Z E S N Y



UCIECZKA OD POCZYTAŁNOŚCI

AGATA BIELIK-ROBSON



Co poszło nie tak? Gdzie
nastąpiło załamanie? Nie
tylko lud nie stał się dojrzały
i rozumny, ale jeszcze
elity oświeceniowe poszły
w rozsypkę, nie bardzo wierząc
w sens powierzonej im kilka
stuleci wcześniej misji.

K

iedy w 1794 r. Immanuel Kant pisze esej na ogłoszony przez „Miesięcznik Berliński” konkurs „Co to jest oświecenie?”, nikt jeszcze nie wie dokładnie, czym ono jest. W tym czasie pytanie zadane przez pruski odpowiednik POLITYKI albo „Timesa” brzmi mniej więcej tak samo, jak dzisiejsze: „Co to jest antropocen?” albo „Kim są mileniałsi?”. Obecnie lektura tego eseju wręcz napawa wzruszeniem: Kant jest pełen entuzjazmu, opiewa oświecenie jako najlepszy i ostateczny pomysł w historii ludzkości, dający receptę na „wyczysty pokój”. Jest ona z pozoru prosta: dzięki oświeceniu ludzkość ma opuścić pielesze tradycyjnych systemów religijnych i społecznych, które trzymają ją w stanie zdziecinienia, i w końcu wydorośleć. Cały esej jest więc utrzymany w tonie pedagogicznym. Oświecenie to „wyjście z samozawinionej niedojrzałości” i „zdolność do posługiwania się własnym rozumem”; „*Sapere aude*, odważcie się myśleć – oto hasło oświecenia”.

Wiek oświecenia czy wiek oświecony

Nadal zdumiewa aktualność Kantowskiej definicji wieku światła. Ta nieszczęsna samozawiniona niedojrzałość – w którą człowiek popada co i rusz, bez względu na wysiłki oświaty – okazała się największym i najbardziej zagadkowym wyzwaniem dla oświeceniowego projektu. Dla Kanta nie ma nic prostszego niż zalecić ludzkości, by wreszcie dorosła: tworzy metaforę dojrzewania racjonalno-duchowego całkiem naturalnie, przenosząc ją ze sfery domowej na społeczną. Tak zatem, jak naturalne dla dziecka jest dorosnąć i porzucić opiekę rodziców, tak samo naturalne dla całej ludzkości jest wyzwolić się z „obcego duchowego kierownictwa” (tu Kant, sam radykalny protestant, ma na myśli zwłaszcza katolicki kler) i rozpocząć dojrzałe autonomiczne życie.

Analogia ta organizuje kształt całego eseju: tak jak dziecko uczy się w końcu chodzić samo po tym, jak nabiło sobie kilka guzów, upadając – tak człowiek w końcu nauczy się sztuki bycia oświeconym, choć początki mogą być bolesne i trudne. I tak jak główną troską rodzica jest zadbać o usamodzielnienie się pociechy – tak elita oświeceniowa ma za zadanie wyprowadzić ludzkość ze stanu zdziecinienia, a następnie łagodnie się usunąć, kiedy już misję swą wykona. Oświecenie zatem jest naturalne, podczas gdy pozostawanie w stanie dziecinnej podległości jest sztucznie wymuszone: nic łatwiejszego niż porzucić chodziki, jak w końcu czyni to każde dziecko, i nauczyć się chodzić samemu, czyli – przez analogię – odważyć się myśleć w zgodzie z wypowiedziami własnego rozumu.

Na ile jest to retoryczny zabieg, który używa dojrzewania jako tylko metafory, a na ile argument, który ma ukazać naturalną oczywistość oświecenia? I jedno, i drugie. Kantowi bardzo zależy na tym, by odwrócić skojarzenie tego, co naturalne, ze stanem zależności – podlegania zewnętrznym normom i nakazom – i mocą analogii z aktem dorastania związać naturalność z uzyskiwaniem racjonalnej autonomii. Stąd figura niedojrzałości, w którą „człowiek popada z własnej winy”, z lenistwa i inercji, nie podejmując wysiłku usamodzielnienia i pozostając do końca życia zależnym dzieckiem. Cała per-

swazyjna siła eseju na tym polega: na odsłonięciu skandalicznego kontrastu między zwykłym domowym wychodzeniem z dzieciństwa, którego nikt w jego oczywistości nie kwestionuje, a społecznym stanem dorosłego człowieka, który w istocie przypomina wiecznie przedłużoną niedojrzałość. Dlatego więc oczekujemy, że dzieci nauczą chodzić się same, jeśli nie oczekujemy od ludzi rzekomo dorosłych, by tak samo odrzucili wszelkie protezy i chodziki? Czy wyjście z dzieciństwa nie obowiązuje na wszystkich poziomach? Czy fakt, że w końcu można odstawić nas od piersi i pozostawić sam na sam z otaczającym światem, nie przekłada się na takie samo odstawienie od piersi mentalnych?

Przez cały esej Kanta pytania te płyną podskórnym nurtem, nigdy niezadane wprost, ale obecne *implicite*, pulsujące niepokojem: co bowiem, jeśli analogia ta nie trzyma i ludzka sfera symboliczno-kulturowa rządzi się innymi prawami niż ta naturalna, w której człowieka, jak każde nowo narodzone stworzenie, trzeba postawić na własne nogi? Co, jeśli człowiek to w istocie *homo infans*, istota wiecznie niedojrzała w sferze umysłowej? Kwestia ta, choć nie rozważana przez Kanta bezpośrednio, napawa go jednak pewnym pesymizmem: kiedy widmo samozawinionej niedojrzałości powraca pod koniec tekstu, Kant nie jest już tak przekonany, że ludzkie masy zechcą dobrowolnie pójść drogą oświeconej elity, by wybić się na intelektualną niepodległość. Ogarnięty wątpliwością pisze, że „żyjemy nie w wieku oświeconym, lecz w wieku oświecenia”. Przygoda dopiero się zaczyna, a jej przyszły los pozostaje niepewny.

Autonomia pomyłona z anomią

Tę samą diagnozę można postawić dzisiaj. Nadal – chyba – żyjemy w wieku oświecenia: trwa masowa edukacja, a jednym z jej oficjalnych celów, wpisanych w jej akt założycielski, jest nauka obywatelska. I z całą pewnością nie żyjemy w wieku oświeconym: choć zlikwidowaliśmy analfabetyzm, poziom świadomości obywatelskiej pozostawia, eufemistycznie rzecz ujmując, wiele do życzenia. Kilka lat po manifestie Kanta Georg Wilhelm Hegel, razem ze swoim starszym przyjacielem Friedrichem Wilhelmem Schellingiem, w pierwszym tekście niemieckiego idealizmu formułując programowe hasło, które ma wyznaczyć bieg i oczekiwany kres historii: „kiedy lud stanie się rozumny”. Chwila, w której cała ludzkość osiągnie racjonalną samoświadomość i odważy się użyć własnego rozumu na wzór oświeconej elity (do której Kant, Hegel i Schelling zaliczają siebie bez żadnych wątpliwości), oznaczać będzie finał wielkiej pracy dziejowej: dorosła jednostka będzie jej ostatecznym produktem. Jeszcze Karol Marks w „Manifestie komunistycznym”, którego pierwsze kilka stron to w istocie wielka apologia nowoczesnego kapitalizmu, wyraża nadzieję, że wypchnięcie chłopów do miast, odbywające się w trakcie rewolucji przemysłowej, wytrąci ich z „idiotyzmu życia wiejskiego” i nauczy bycia refleksyjną jednostką, zdolną do życia poza kolektywnym mózgiem tradycyjnej wspólnoty. W XX w. tę głęboką wiarę w globalny triumf oświecenia w politycznej formie demokracji liberalnej najmocniej wypowie Francis Fukuyama, którego „Koniec historii” przetłumaczono w Polsce niemal natychmiast, czyli tuż po 1989 r., bo też całkiem słusznie sądzono, że to ballada o nas, o bloku wschodnim, zakończona wspaniałym heglowskim happy endem.

Teraz, kilka dekad po obwieszczonym końcu historii, kiedy to lud miał stać się rozumny i obywatelsko dojrzały, deklaracja ta brzmi dziwnie nierealnie, jakby wypowiedział ją jakiś pełen optymizmu fantasta w rodzaju Isaaca Asimova, a nie trzymający się ziemi myśliciel. Co zatem poszło nie tak? Gdzie nastąpiło załamanie? Nie tylko lud nie stał się dojrzały i rozumny, ale jeszcze elity oświeceniowe poszły w rozsypkę, nie bardzo wierząc w sens powierzonej im kilka stuleci wcześniej misji. Czyżby dzieciństwo – owa samozawiniona niedojrzałość – było jednak ostateczną i nieprzekraczalną kondycją ludzkości?

Jeśli jednak tak, to raczej mieliby konserwatyści, których różnorodne teorie mają jedną część wspólną: absolutną niewiarę w istnienie czegoś takiego, jak ludzka istota dorosła. Dla konserwatysty dowolnej denominacji człowiek na zawsze pozostanie dzieckiem wymagającym nieustannej opieki instytucjonalnej, „istotą wybrakowaną”, która nigdy nie stanie na własne nogi, bo wciąż musi się podierać „proteżami” (jak mówił Johann Gottfried Herder, romantyczny ojciec tzw. antropologii filozoficznej, akcentującej nieusuwalny brak w człowieku), albo, jak to ujął Kant w zgodzie ze swoją pedagogiczną retoryką, „chodzikiem”. To w wizji Herdera właśnie optymizm Kanta ulega najsilniejszemu zakwestionowaniu: tu nie ma żadnej analogii między naturalnym dojrzewaniem, gdy ludzki organizm uczy się chodzić bez pomocy, a socjalizacją, która w istocie jest wejściem człowieka w wielką symboliczną rodzinę kultury. Ta bowiem staje się dla wybrakowanego ludzkiego dziecka prawdziwą matką – w przeciwieństwie do natury, która, jak mówi Herder, jest dlań tylko złą macochą.

Uczłowieczenie małego ludzkiego zwierzęcia to zatem nie wyjście z samozawinionej niedojrzałości, lecz, niejako przeciwnie, wejście w zależność od symbolicznych instytucji kultury: uświadomiona i zaakceptowana podległość. Gdyby pozbawić człowieka opieki i ochrony matczynych instytucji – Kościoła, narodu, ojczyzny (*ecclesia, natia, patria*: czy to przypadek, że wszystkie te łacińskie rzeczowniki są rodzaju żeńskiego?), ten stałby się niezdolną do życia sierotą, społeczeństwo zaś popadłoby w stan anomii. Tak zresztą „nieudany” eksperyment wychowawczy oświecenia opisuje W.B. Yeats, książę konserwatywnych poetów, w słynnym wierszu „Drugie przyjście”: tonąc w bezbrzeżnej otchłani sokół nie słyszy już głosu sokolnika; wszystko się rozpada, centrum nie istnieje i już niczego wokół siebie nie skupia; niewinność przepadła, a świat zalewa fala anarchii. *Things fall apart, the centre cannot hold*: ludzkie dziecko, wystawione na zwodniczą obietnicę dorosłości, powoli zamienia się w dziką bestię. Ta bestia – nowy zdeprawowany człowiek-sierota – wkrótce się narodzi, już bowiem „pełźnie w stronę Betlejem”. W ten sposób Yeats wieszczy nadejście nowej ery mas i powszechnego „zbydlęcenia”, w której ludzkość – dalsza niż kiedykolwiek od „stania się rozumną” – pomyli autonomię z anomią.

Bunt mas, bunt elit

I istotnie, ostatni wiek dostarczył nam tylu straszliwych danych na temat człowieka – od komunizmu, przez nazizm, po kolonializm i eksperymenty Stanleya Milgrama – że optymizm kantowski mało kto już podziela: im więcej wiemy, tym wiara w możliwość masowego oświecenia ludzkości staje się

Sytuacja staje się paradoksalna: choć oświecenie to przede wszystkim zdolność posługiwania się własnym rozumem, racjonalna autonomia i trzeźwość, to samo obstawanie przy oświeceniu zaczyna nabierać cech religijnej wiary.

powoli mrzonką, tą samą płochą *Schwärmerei*, którą Kant zarzucał romantycznym utopistom. Im bardziej dowiadujemy się, do czego zdolna jest ludzkość – czyli, jak to wyraził Robert Musil, pijąc do Kanta: „i do skrajnego barbarzyństwa, i do krytyki czystego rozumu” – tym trudniej jest nam uwierzyć, że to pierwsze w końcu ulegnie oświeconej krytyczności.

Sytuacja staje się więc dziś paradoksalna: choć oświecenie to przede wszystkim zdolność posługiwania się własnym rozumem, racjonalna autonomia i trzeźwość, to samo obstawanie przy oświeceniu zaczyna nabierać cech religijnej wiary. Staje się, jakby powiedzieli teologowie, wiarą czystą, *sola fide*, opartą na słynnej sentencji Tertuliana, jednego z Ojców Kościoła: *credo quia absurdum*, wierzę, bo jest to absurdałne. Tertulian był przekonany, że wiara powstaje wbrew wiedzy: im bardziej wydaje nam się nieprawdopodobne, że Bóg mógł się wcielić w człowieka, który zmarł straszną śmiercią na krzyżu, tym jaśniej wyłania się obiekt wiary czystej, mocniejszej siłą kontrfaktyczności. Im bardziej sceptyczny rozum podpowiada nam, że to absurdałne, surrealne i niemożliwe, tym bardziej rośnie w siłę wiara jako opozycja wobec poznania.

Tyle że ten Tertuliański paradoks nie mieści się dobrze w paradygmacie oświecenia: rozum nie może oddać się czystej wierze, nie abdykując jednocześnie z samego siebie. Rozum musi przyswajać sobie wiedzę, choćby ta była najbardziej mroczna i odczarowująca; musi demistyfikować i rozwiewać mrzonki, bo inaczej przestałby być rozumem. Czy także i dziś Hegel, postawiony wobec nagromadzonego archiwum antropologicznej wiedzy, powiedziałby po tertuliańsku – „tym gorzej dla faktów”, czyli, zarazem, tym lepiej dla czystej wiary, wiary oświeconej, stawiającej na dziejowy finał, kiedy to lud stanie się rozumny? Wątpliwe. Nawet nie wiedząc tego, co już dzisiaj wiemy, Hegel, wielki idealista za młodu, popadł na starość w depresję, przytłoczony przez „pessimizm intelektu”, czyli nadmiar wiedzy odbierający wszelką nadzieję. Wszyscy mamy coś ze starego Hegla: wiedza wypala w nas resztki wiary, cynizm wypiera nadzieję, niegdysiejszą miłość do ludzkości i ludu, deklarowaną przez nowożytny humanizm, zastępuje ponura mizantropia. Jak więc zachować wiarę, nadzieję i miłość – te trzy cechy ewangeliczne, niezbędne każdemu proponentowi oświecenia – a jednocześnie nie zgubić wiedzy, jaką zdobyliśmy o sobie i świecie?

To chyba największe wyzwanie, które stoi przed każdym myślicielem, ale też politykiem godnym swego miana. Dzisiejsza lewica, w tym zwłaszcza Slavoj Žižek, twierdzi, że ciążę nad nami klątwa zakazu myślenia, jaką nałożył na nas neoliberalizm mówiący, że nie ma dlań żadnej ekonomiczno-politycznej alternatywy. Ja jednak upatruję przyczyn naszej obecnej intelektualnej dezorientacji gdzie indziej – albo po prostu głębiej: w kryzysie samego projektu oświecenia, który wywieszczył Yeats, w tym samym wierszu pisząc, że *the best lack all conviction, the worst are full of passionate intensity* – tym najlepszym brakuje wszelkiego przekonania,

gdy ci najgorsi pełni są wścieklej pasji. W moim, nie do końca zgodnym z intencją autora, przekładzie oznacza to, że najlepszy z nas, którzy wciąż jeszcze chcieliby wierzyć w pedagogiczny sens oświecenia, milkną, kiedy to znacznie liczniejsza reszta ludzkości oddaje się swoim „opowieściom idioty, pełnym wściekłości i wrzasku”, komunikując swoje nieprzetrawione frustracje w najbardziej zabójczym dla sfery publicznej medium, jakim okazał się internet (zdumiewające, jak trafnie Szekspir opisał zjawisko z odległej dla siebie przeszłości). Na pozór opowieści te spełniają wiele z formalnych kryteriów Kantowskiego oświecenia – ludzie piszą sami z siebie, posługując się własnym rozumem i odrzucając autorytety – ale, właśnie, na sposób zupełnie idiotyczny. Internetowo kreowane trendy, jak ruch antyszczepionkowy czy zwolenników płaskiej ziemi, przypominają bunty nastolatków, których jedynym celem jest zranienie opiekunów, bez względu na to, kto ma rację i gdzie leży prawda: sama możliwość odreagowania się na elicie daje wystarczającą satysfakcję. A to, zdaniem trzeźwego Kanta, stanowi najbardziej patologiczną motywację: to nie rozum przemawia tu własnym głosem, ale jedynie resentment, mroczny patogen ludzkiego stada.

Kryzys braku przekonania po stronie oświeceniowych elit też rodzi swoje patologie, czyli – by trzymać się rodzicielskiej retoryki Kanta – tzw. czarną pedagogikę, stan, w którym opiekunowie do tego stopnia utracili wiarę w wychowanie obywateli, że zamiast systemu nagród stosują już tylko kary. Okopani w kampusowych oblężonych twierdzach, które niczym arki Noego dryfują po oceanie populistycznego gniewu, nie czują wspólnoty z tymi, których oświecenie miało uratować przed samozawinioną niedojrzałością. Ci także pełni są urazy, którą wyrażają w postaci pozornie idealistycznych, ale w istocie mściwych oskarżeń pod adresem nieoświeconych: nie mogą dorosnąć do wygórowanych i coraz bardziej niemożliwych ideałów etycznej i politycznej wrażliwości (w których zresztą gubią się sami proponenci), lud jawi im się jako niereformowalnie odrażający, brudny i zły. Kantowska metafora rodzinna, która miała budować wokół oświecenia atmosferę uwagi, współczucia i troski, załamuje się więc także i tu: na idiotyczny bunt mas, który przejął internet jako swoje medium, odpowiada dziś równie destrukcyjny bunt elit, które postanowiły zamknąć się w akademickiej wieży z kości słoniowej i stamtąd ślać swoje progresywne roszczenia wobec świata, zrozumiałe tylko dla grupki koneserów.

Między niepo czytelnym a hiperodpowiedzialnym

A zatem – klęska na całej linii. Jest taka pojedyncza figurasynekdocha, w której skupia się wielkie rozczarowanie obietnicą oświecenia, tak po stronie wychowanków, jak i wychowawców: jest nią Adolf Eichmann, opisany w słynnym raporcie Hannah Arendt z procesu w Jerozolimie jako absolutne przeciwieństwo wolnej, refleksyjnej, dojrzałej i świadomej etycznie jednostki. Eichmann do końca uważał się za czło-

wieka niewinnego, biernie i posłuszenie wypełniającego nakazy swojej wspólnoty, a tym samym „niepoczytywalnego” za popełnione zbrodnie. Wprawdzie twierdził, że jego ulubioną książką, która podnosiła go na duchu w czasie „trudnej pracy” w oświęcimskim obozie, była „Krytyka czystego rozumu” Kanta – ale ewidentnie niewiele z niej zrozumiał (fragment, który doprowadzał Eichmanna do ekstazy, poświęcony był pochwie obowiązkowi, reszta już komendanta nie obchodziła).

To właśnie ta postawa skłoniła Arendt do sformułowania hipotezy o banalności zła, tkwiącej w zwyczajnym kulturowym konformizmie. Tłumaczenia Eichmanna, że posłał miliony Żydów do gazu, ponieważ tego od niego oczekiwano kultura, w której przebiegała jego socjalizacja, nie różnią się bowiem w niczym od codziennych ekskuz w rodzaju: „biję żonę i dziecko, bo tak czynił mój dziad i pradziad”. Tłumaczenia te banalizują zło – przemoc wobec innych – do tego stopnia, że w perspektywie okoliczności łagodzących, jakim jest wzorzec w danej kulturze dominujący, to w ogóle złem być przestaje; staje się normą.

Historia Eichmanna, w którym nie zaszedł najmniejszy nawet proces wychowawczy – nie było w nim ani skruchy, ani zrozumienia dla cierpienia ofiar, ani nawet przeczucia, że w jego obowiązkowym wykonywaniu aktualnie obowiązujących norm mogło być coś nie tak; przeciwnie, oskarżony do końca zachował dumę z własnej obowiązkowej postawy – pokazuje jak na dłoni potworny dylemat naszych czasów. Jest nim starcie dwóch całkowicie przeciwnych, niczym niezapśredniczonych perspektyw: jednej, która rozmywa poczytalność w banalności powszechnego konformizmu, nazywającego się szumnie wiernością tradycyjnym normom – i drugiej, która bezwzględnie domaga się od każdej jednostki refleksyjnego stosunku wobec przemocy i zła. Codzienny efekt zderzenia daje poczucie konfuzji dwóch zupełnie różnych modeli kulturowych, których nic nie łączy i nie zapśrednicza: dzieciennego i dorosłego, kolektywnego i indywidualnego, konformistycznego i krytycznego, mimetycznego i refleksyjnego, a wreszcie – niepoczytalnego i hiperodpowiedzialnego.

Doskonałym przykładem takiego czołowego starcia jest dziś akcja *me-too* (art. s. 34): z jednej strony oskarżani przez nią mężczyźni czują się niewinni, powołując się na normy przyzwolenia w kulturach, które ich ukształtowały – z drugiej zaś strony oskarżające ich kobiety powołują się na wygórowany ideał poczytalności, który nakazuje jednostce etyczną czujność bez względu na kulturowe konformizmy, i na jego podstawie domagają się sankcji prawnych. To kolejna odsłona banalności zła – oczywiście przy zachowaniu wszelkich proporcji – i odpowiedzi nań w postaci karzącej ręki prawa. W każdym z nas, potencjalnym oprawcy, jest coś z dzieciennego Eichmanna, gotowego zwolnić się z odpowiedzialności na rzecz kulturowej matki-matrycy – ale też w każdym z nas jest choćby resztką dorosłego podmiotu, który wciąż ma się na baczności, bo nowoczesna cywilizacja prawa opiera się na zasadzie jednostkowej poczytalności, dokładnie tej, którą Kant w swoim eseju nazywa dojrzałością prawną, *Mündigkeit*.

I choć późnonowoczesna kultura coraz bardziej rezygnuje z idei niezależnego podmiotu, uważając ją za kartezjańską iluzję, to jednocześnie nie rezygnuje z idei prawa, wo-

Pierwsze kroki,
obraz Marguerite'y Gerard,
XVIII w.



bec którego opowiadają się koniec końców zawsze poszczególne jednostki. Ta głęboka niezgodność stawia nas wszystkich w trudnej sytuacji: z jednej strony jesteśmy gotowi sobie wszystko wybaczyć jako dzieci naszych tradycji i etnosów – z drugiej zaś obawiamy się, że za wszystko zostaniemy osądzeni jako dorosłe jednostki, które nie wykazały się dostateczną moralną czujnością; że rozmaite czyny i rozmowy będą nam poczytane i zaliczone na nasz, tylko nasz, karb, a nie naszej matki/ojczyzny/wspólnoty, która wybacząco przymykała oczy. W końcu Eichmann został skazany i nikt o zdrowym zmyśle moralnym nie powie, że niesłusznie: skazany jednak nie za występki przeciw obowiązującym w Trzeciej Rzeszy normom, bo tego się nie dopuścił, lecz za pogwałcenie Kantowskiego uniwersalnego prawa moralnego, do którego stosowania nie dorósł.



Konflikt cywilizacji
przebiega w nas
samych, w łonie naszych
najgłębszych emocji, między
dorosłym a dzieckiem,
którym nadal pozostajemy
mocą naszej dziwnej
wybrakowanej biologii.

Między miłosierną Matką a karzącym Ojcem

Pytanie tylko: kto dorósł? Kto osiągnął tę pełną jednostkową dojrzałość i poczytalność? Kto pierwszy bez grzechu – czyli komu pierwszemu się ta sztuka udała – niech też pierwszy rzuci kamieniem. Fakt, że tego rzucania kamieniem dziś całkiem sporo, zwłaszcza wśród prawowitych z internetu, zawsze gotowych do linczu dowolnego kozła ofiarnego, tylko potwierdza skryty lęk, że wszyscyśmy grzeszni i w strachu: najlepszą formą obrony jest bowiem atak, w którym to, czego najbardziej boimy się w sobie, projektujemy na innych. Jakkolwiek może brzmieć to szokująco, powtarzam: dziś każdy ma w sobie coś z Eichmanna, realnego bądź potencjalnego, i każdy przeżywa skryty lęk, że coś – nawet nie wiadomo jeszcze co – będzie mu poczytane. Żaden mężczyzna zatem nie może być pewien, że

nigdy nie uchybił wobec kobiety, która może mu o tym przypomnieć w akcie publicznego oskarżenia; żadna kobieta nie może być pewna, że nie uchybiła wobec swojego dziecka, które być może kiedyś wytoczy jej proces o to, że się w ogóle urodziło (poczytajcie sobie Apokalipsę według Świętego Vonneguta, prawdziwą skarbnicę gorzkiej wiedzy o późnym człowieku Zachodu); żadne dziecko nie może być pewne, że nie uchybiło wobec bliźnich z królestwa zwierzęcego, które, być może, niedługo już uzyska prawną reprezentację w przyszłej globalnej konstytucji radykalnych wegan; i żaden weganin nie może być pewien, że wyszedł z tej nieskończonej próby etycznej, jaką jest ludzkie życie, bez szwanku, bo w końcu jadł rośliny, a te przecież także żyją i to naprawdę niewinnie...

Tak można by ciągnąć i rozszerzać bez końca, bo nie ma końca w kręgu ofiar, chyba że zupełna nicość (jak twier-

dzą radykalni gnostycy, jedyni sprawiedliwi i konsekwentni w tym zamęcie wszechoskarżenia). Każda ofiara jest też – realnym bądź potencjalnym – oprawcą i z tej samsary nie ma wyjścia: to piekielny krąg uroburosa, węża zjadającego swój własny ogon, gdzie pozycja oprawcy i ofiary ulega ciągłej wymianie. W ten sposób oświecenie stało się widmem Sądu Ostatecznego; z procesu wychowawczego przekształciło się w proces karny, na wzór „Procesu” Kafki, gdzie nikt nie ma prawa poczuć się niewinnym.

Konflikt cywilizacji nie dzieje się więc gdzieś na rubieżach wolnego Zachodu atakowanego przez zniewolony islam, jak to sobie naiwnie wyobrażał Samuel Huntington: przebiega w nas samych, w łonie naszych najgłębszych emocji, między dorosłym a dzieckiem, którym nadal pozostajemy mocą naszej dziwnej wybrakowanej biologii – między bezlitosnym prawem, które budzi w nas lęk, bo nie jesteśmy w stanie doń dorosnąć, a pragnieniem miłosierdzia, które nam wszystko wybaczy, jak nieświadomym dzieciom. Ciągąc dalej Kantowską metaforę familijną, można by powiedzieć, że nastąpił Freudowski kryzys romansu rodzinnego, czyli kompletna schizma między figurą miłosiernej Matki i karzącego Ojca, która uniemożliwia normalne wychowanie. Matczyna miłość bez sprawiedliwości – „jesteś moim dzieckiem, wszystko z góry wybaczone” – i ojcowska sprawiedliwość bez miłości – „jesteś samotnym dorosłym, zawsze podejrzanym wobec idealnej normy” – to dwa wielkie nieszczęścia naszej epoki, które idą ze sobą w parze, choć jest to para głęboko skłócona. Efektem tego ostrego dualizmu jest brak procesu dojrzewania, czyli stopniowego przechodzenia od jednej pozycji do drugiej.

Polaków nauka chodzenia

Wspólny pochod tej pary znamy dobrze z własnego podwórka, gdzie Polska zdzieciniała, jak to ją nazywał Stanisław Brzozowski – Polska, która ci wszystko wybaczy, od pedofilii po antysemityzm, bylebyś tylko trzymał się jej spódnicy – co chwila zderza się z atakami nagłej krytyczności, tyleż bezlitosnymi, co nieskutecznymi. Polskiej elicie oświeceniowej Polska tradycyjna, ale też młoda rodzima lewica zarzucają wyższościowy paternalizm, mnie jednak wydaje się, że nigdy nie była ona prawdziwie paternalistyczna – jeśli pojęcie to rozumieć w świetle Kantowskiej metafory rodzicielskiej. Od kilku wieków Polacy bezradnie krążą między samozawinioną niedojrzałością a próbami nagłego wrzucania w dorosłość – i nigdy nie jest im dane stopniowe dojrzewanie, które, zdaniem Kanta, powinno być jedyną troską oświeceniowych elit. Przez pierwsze lata transformacji rządził (anty)pedagogiczny model wrzucania w trudny nowoczesny świat jak na głęboką wodę, w wyniku czego mnóstwo polskich „dzieci” doznało traumy podtopienia – dziś natomiast wahadło znów zbliża się do bieguna infantylizacji, a retoryczne oskarżenia pod adresem dawnych ekip w rodzaju „ludzie poczuli się zostawieni sami sobie”, łatwo rzucane z prawa i z lewa, zyskują status niepodważalnej oczywistości. Choć nie dla mnie; mnie raczej przepełnia żal, że z powodu tych licznych guzów i ogólnej traumatyzacji przepadła nam na długi czas szan-

sa, by zmierzyć się w polskim społeczeństwie z wyzwaniem dojrzewania jako – po kantowsku rzecz biorąc – zwykłej nauki chodzenia.

Czy można jednak winić człowieka (w tym Polaka) za to, że woli uciec przed zimnym światłem świata dorosłych do stadnego ciepła matki naszej, którą jest każda ponadjednostkowa wspólnota: Kościół, naród, ojczyzna? Człowiek (a więc także i Polak) to może wybrakowane i trochę głupie zwierzę, ale jednak nie aż tak. Erich Fromm, diagnozując dwudziestowieczny pęd do autorytaryzmu, mówił o ucieczce od wolności; dziś moglibyśmy tę diagnozę zmodyfikować, mówiąc o ucieczce od poczytalności. Kto bowiem nie chciałby przygarnąć się do starej dobrej macierzy, w której i babę szturchać można, i na dziecko nakrzyczeć, i Żyda zadenuncjować, a jeszcze być z tego wszystkiego dumnym jako świętego zestawu tradycyjnych wartości? Albo też przyłgnąć do innej, postępowej macierzy, w której wszystkich obcych można wykląć jako rasisto-klasisto-seksisto-mięsożerców i samemu przez chwilę poczuć się wolnym od grzechu? Kto wolałby zamiast tego drzeć na zimnie bezlitosnego oskarżenia, w które wyrodziło się oświecenie? Chyba istotnie tylko garstka masochistów, którym kantowski imperatyw dojrzłości głęboko zapadł w serce i którzy po cichu modlą się o odrobinę dialektyki jak o łagodny deszcz łaski.

Ale też tego nam najbardziej dziś trzeba: odrobiny mediacji, zapośredniczenia, dystansu, dzięki którym moglibyśmy ożywić bardziej złożone – i dojrzałe – postawy krytycznego miłosierdzia i miłosiernej krytyki, tej matczyno-ojcowskiej pary rodzicielskiej, bez której żadne wychowanie nie może się powieść. Znów patrzy na mnie stary Hegel z późnego portretu, melancholijnym spojrzeniem, w którym już niemal doszczętnie zgasł dawny entuzjazm dla ideałów oświecenia. Niemal. Bo u niektórych (tych najlepszych?) pozostało jednak z Hegla też coś dobrego, czego żadna wiedza z czasem nagromadzona nie zdołała przekreślić: zamiłowanie do miękkich rozwiązań dialektycznych. Ostatecznie rzecz biorąc, na pytanie – kto ma rację: Kant ze swoją naturalną analogią wychowywania do dorosłości czy Herder z przekonaniem, że człowiek jest istotą poszkodowaną, która na zawsze pozostaje zależnym dzieckiem – Hegel odpowiedziałby salomonowo: obaj. Herder bowiem może być bliższy prawdy w opisowej sferze faktów, Kant jednak porusza się lepiej w postulatywnej sferze ideałów; jeden ma rację w sferze wiedzy, drugi w sferze nadziei i wiary, bez których ludzkość byłaby jak cymbał brząca.

Dziś potrzebne nam jedno i drugie, wiara i wiedza, byśmy w końcu zdali sobie sprawę, jak piekielnie trudno jest człowiekowi dorosnąć i jak wiele czasu, cierpliwości i współczucia jest konieczne, by nauczyć się chodzić. Nie żyjemy bowiem w epoce oświeconej – ale, miejmy taką nadzieję, wciąż jeszcze w epoce oświecenia.

AGATA BIELIK-ROBSON

Dr hab. **Agata Bielik-Robson** jest profesorem Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, kieruje Zespołem do Badań nad Myślą Postsekularną, wykłada także w katedrze Studiów Żydowskich na Uniwersytecie w Nottingham.

CIENKA WARSTEWKA ROZUMU

Rozmowa
z prof. **Pawłem Golikiem**, biologiem,
o tym, co dla ludzkości wynika
z obecnego stanu wiedzy
o ewolucji.

Prof. **Paweł Golik**
jest dyrektorem
Instytutu Genetyki
i Biotechnologii Wydziału
Biologii Uniwersytetu
Warszawskiego.

SŁAWOMIR MIZERSKI: – **Czy człowiek jest od strony genetycznej zjawiskiem wyjątkowym?**

PAWEŁ GOLIK: – Tak samo wyjątkowym jak każdy inny gatunek, który ma swoją niszę, swój unikatowy sposób na przetrwanie i uzyskanie możliwie najlepszej adaptacji do środowiska. Niszą człowieka jest to, co nazywamy kulturą. Tworzenie cywilizacji i kultury to nic innego jak nasza natura, nasze ewolucyjne wyposażenie. Ale oczywiście różnimy się od innych gatunków, bo ich nisze wyglądają inaczej. Z tym że, jak zauważył już Karol Darwin, te różnice mają charakter bardziej ilościowy niż jakościowy. Nie jest tak, że jesteśmy jedynym gatunkiem używającym narzędzi, komunikującym się za pomocą języka czy potrafiącym przekształcać środowisko. Chociaż u nas – ludzi – te cechy są rozwinięte wyjątkowo mocno.

O jakimś zupełnie niewytłumaczalnym ewolucyjnym skoku, który doprowadził do pojawienia się człowieka, nie ma zatem mowy?

Niewytłumaczalnego skoku nie było, była seria stopniowych zmian. Oczywiście w pewnym momencie te zmiany, które z biologicznego punktu widzenia były niewielkie, doprowadziły do przekroczenia progu i w efekcie losami naszego gatunku przestała zawiadywać wyłącznie biologia. Kiedy to dokładnie nastąpiło – trudno powiedzieć, zresztą pewnie nie odbyło się to na zasadzie jednego skoku.

Co z natury, co z kultury

Co oprócz biologii zaczęło o losach gatunku ludzkiego decydować?

To, co można nazwać przekazem kulturowym. Niektórzy nazywają to ewolucją kulturową, ale nie lubię używać tu pojęcia ewolucja, bo przemiany cywilizacyjne tym się różnią od ewolucji biologicznej, że w ich trakcie przekazujemy cechy, które nabyliśmy za życia, a nie te, które zdarzyły się na skutek mutacji w materiale genetycznym naszych przodków. Poza tym przekazujemy je nie tylko pionowo, od rodziców do potomków, ale także w szereg – wszystkim tym, którzy np. chcą nas słuchać. Kiedy rozmawiamy, także dochodzi do takiego przekazania – ja przekazuję panu jakieś informacje. I jest to coś, co w ewolucji czysto biologicznej

Modele czaszek obrazujące ewolucję rodziny człowiekowatych (*Hominidae*).

Niewytłumaczalnego skoku nie było, była seria stopniowych zmian.



nie mogłoby zachodzić, ponieważ geny przekazują wyłącznie swoim dzieciom. A informacje dzięki rozwojowi techniki mogą przekazywać natychmiastowo w zasadzie całemu światu. Ale główna różnica pomiędzy zmianami kulturowymi a ewolucją biologiczną polega na tym, że ta druga jest procesem bardzo, ale to bardzo powolnym. Jej tempo w odniesieniu do gatunku takiego jak człowiek umyka naszemu postrzeganiu. W dostępnej nam skali czasowej możemy co najwyżej zaobserwować ewolucję w odniesieniu do bakterii, drożdży czy muszek owocowych, bo są to gatunki rozmnażające się bardzo szybko.

Czy ewolucja kulturowa wpływa na biologiczną?

Na każdą utrwaloną przez ewolucję zmianę genetyczną u człowieka potrzeba tysięcy pokoleń, dlatego nie jesteśmy w stanie jej dostrzec. Z naszej perspektywy może się nawet wydawać, że człowiek już przestał ewoluować. Z kolei przemiany kulturowe są niesłychanie szybkie, co może rodzić wrażenie, że historią naszego gatunku przestała rządzić ewolucja biologiczna, a zaczęły – wyłącznie przemiany kulturowe. Tak nie jest, chociaż to, co da się zaobserwować, to są właśnie zmiany kulturowe. Biologicznie człowiek z okresu cesarstwa rzymskiego i człowiek współczesny nie różnią się od siebie praktycznie niczym. Natomiast jeśli chodzi o kulturę, rozwój cywilizacyjny, są kompletnie różni, dzieli ich wiele epok.

Żeby dostrzec choćby najmniejszą zmianę genetyczną, musielibyśmy się cofnąć jak daleko?

Problem polega na tym, jak szybko jakaś pojawiająca się zmiana może się utrwalić w puli genowej na tyle, żebyśmy mogli ją zaobserwować. To zale-

ży od tego, jak liczna jest dana populacja. W tej chwili ludzi jest strasznie dużo, dlatego aby nowa cecha stała się zauważalna, musiałoby upłynąć bardzo dużo czasu. Kiedyś było nas znacznie mniej, dlatego pewne cechy utrwalone dawniej przez ewolucję możemy łatwiej znaleźć. Najbardziej znaną jest zdolność do wykorzystywania cukrów zawartych w mleku, która u wielu ludzi utrzymuje się także w dorosłości. U dorosłych ssaków jest to rzecz niespotykana. Kiedy ok. 10 tys. lat temu wynaleźliśmy rolnictwo i zaczęliśmy hodować bydło, zaczęliśmy wykorzystywać mleko tego bydła jako źródło pokarmu. W związku z tym wariant genetyczny powodujący, że zdolność do wykorzystywania mleka jest cechą nie tylko dzieci, ale również dorosłych, mniej więcej wtedy się zaczął utrwalać.

Inne przykłady są związane z działaniem organizmów chorobotwórczych, czyli patogenów. Np. to, że wśród ludzi wywodzących się z rejonów okołorównikowych częściej występuje gen powodujący anemię sierpowatą, co jest związane z faktem, że ten gen wytwarza również odporność na malarię. Jeśli ma się uszkodzone dwie kopie tego genu, choruje się na anemię sierpowatą, ale jeśli uszkodzona jest tylko jedna, to się nie tylko nie choruje, ale jest się odpornym na malarię. Dlatego ten gen, który normalnie byłby szkodliwy i przez ewolucję usuwany, akurat we wspomnianej populacji jest częsty.

Czy ewolucję biologiczną można przyspieszyć?

Można oczywiście snuć scenariusze ewolucyjne zakładające szybsze zmiany biologiczne, ale to raczej dziedzina fantastyki naukowej. Np. można sobie wyobrazić wysłanie niewielkiej